

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

13-19 lipca 2004 r.

NR 7 (16)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Najmilsi i Najwierniejsi Czytelnicy

Uprzejmie donosimy, że nie ulegliśmy pokusie zafundowania sobie odsapu i postanowiliśmy pozostać z Wami przez wakacje. Gorzej, jeżeli okaże się, że Państwo postanowicie odpocząć od „Koninianów”. Pociaszamy się jednak, że to chyba niemożliwe. A więc spieszą donieść, co przygotowaliśmy dla Was tym razem.

Leszek z uporem dokopuje się do nowych wiadomości dotyczących Zofii Urbanowskiej. Trudzi się zresztą na Państwa wyraźne zycze-

nie. Cieszy nas, że udało się ponownie odkryć pisarkę dla Konina.

Prawdziwym „cymesikiem” jest korespondencja ze Szwecji. Józef Lewandowski, autor wspomnień konińskich „Cztery dni w Atlantydzie” przypomina żydowskich kamieniarzy. Dla nas to już terra incognita, tym bardziej że ich wyroby zniknęły razem z żydowskim cmentarzem.

Koniecznym należy zapoznać się z artykułem ks. Andrzeja Mendroka przedstawiającego pracę duszpasterską w Koninie pastora Roberta Badke, któ-

rego przywiązanie do Konina walczyło o lepsze z niemieckością. Piękny przykład współżycia kultur.

Włodek Kowalczykiewicz, po ciepłym przyjęciu „Konina na nos wziętego” nabiera rozpędu pisarskiego, a podpisuje się „jeszcze wierniejszy starokoninianin”, ano, niech mu będzie.

Otrzymujemy Państwo również piękny prezent od firmy „Sypniewski i synowie”. To kolekcja fotografowa autorstwa Macieja Sypniewskiego „Konin nocą”. Oj, Panie Wojciechu syn wyraźnie bierze rozbrat z rzetelnym

rzemiosłem i ucieka do bohemy - taka pewno kolej rzeczy. Ale za zdjęcia bardzo dziękujemy.

**Pozdrawiam
Stanisław Sroczynski**

PS. Za pośrednictwem „Koninianów” p. Jadwiga Szymczak alarmuje, że nie najlepiej przedstawia się otoczenie cmentarzyka z lat I wojny światowej. Dołączamy się i prosimy kierownika odpowiedniego wydziału z Urzędu Miejskiego o zainteresowanie się sprawą. Towarzystwo deklaruje pomoc.

Z kart przeszłości

Dwie korespondencje Zofii Urbanowskiej

W trzeciej korespondencji zamieszczonej w Gazecie Polskiej w 1870 roku w numerze 85 Zofia Urbanowska odniosła się do problemu braku środków na działalność szpitala św. Ducha i ochronki, o czym pisała poprzednio. Jej zdaniem...*Konin ma 6-tysięczną ludność, otóż gdyby mieszkańcy zamiast jałmużn udzielanych pod rozmaitymi postaciami, zgodzili się płacić do Kasy Rady Opiekuńczej regularnego, ale dobrowolnego podatku, choćby po 2 ruble rocznie, zebrano by się kapitał w ilości 12000 rs, a ponieważ prawie trzecia część ludności jest tak uboga, że wymienionej sumy płacić nie byłaby w stanie dla tej prostej przyczyny; że sama potrzebuje wsparcia, przeto odtrącamy 4000 rs, a pozostaje 8000 rs, na które pewno liczyć możemy, z tych 1000 rs można by przeznaczyć na opłacenie długów szpitalnych i zakup placu pod ogród, 200 rs na stałe utrzymanie starców i kalek, którzy jakkolwiek mają w szpitalu schronienie, wódczą się po mieście, w karczmach przepijają wybrane grosze, 2800 rs na założenie ochronki i zaopatrzenie jej w pierwiastkowe potrzeby, 4000 rs na założenie przy szpitalu kantoru, który by ubogiej ludności dawał zapomogi pieniężne na kupno warsztatów, sprzętu, odzieży itp. w formie zwrotnej pożyczki rozłożonej na wiele lat i bezprocentowej... Zdaje nam się, że podatek 2 rs nie jest wielkim, można by składania go ułatwić publiczności przez rozłożenie po 16 i pół kopiejki miesięcznie (prawie grosz dziennie)... Zdaje nam się słyszeć zarzut, że 2800 rs na ochronkę nie wystarcza. W istocie jest to*

mało lecz gdyby urządzono na początek chociaż kilka łóżek mogłoby to uchronić kilka istot od zepsucia i śmierci głodowej.

W dalszej części artykułu autorka przybliżyła czytelnikom stan szkolnictwa elementarnego w Koninie. Pisała...*Szkola elementarna w Koninie nieźle jest prowadzona; dzieli się na dwa oddziały, chłopców i dziewcząt. Na wykłady skarżyc się nie można, uczniowie pilniejsi dużo skorzystać mogą, nauczanie jest bezpłatne zatem na pozór przystępne, wszelako szkoda, że nie wszyscy się garną. W szkole tylko porządnie odziane dziecko uczę się może, a więc zamożniejsi. Ci zaś co nie mają odzieży całej nie śmiać - chociaż kto wie czy nie lepiej byłoby i tych bosych malców do nauki przypuścić. Może ziarno zdrowe w młodą duszę wrzucone przyległoby się i kiedyś wyrosło. Gmina izraelska pod tym względem urządziła się lepiej. Tam każde dziecko (chłopcy) znać musi talmudyczne nauki i czytać umieć w rodzimym języku. Istnieje w naszym mieście kilka takich szkółek, z tych jedna służy bogatszym za miesięczną opłatą, inne wyłącznie dla biednych przeznaczane, nauczają bezpłatnie, a na uposażenie nauczyciela (melameda) składa się cała gmina, którą on sam z puszką obchodzi. Groszaki i złotówki sypią się podług tego ile kto dać może lecz pokazuje się, że te dary wystarczają kiedy szkółki utrzymują się. Nauki religii i wiadomości niezbędnych słuchają pacholeta bosa, obdarte bez względu na zamożność. Wiedza jakkolwiek szczupła przystępna jest dla wszystkich. Gmina ewangelicka pomie-*

dy jednym a drugim stanowi śródek. W szkółce nauczanie odbywa się troskliwie i systematycznie, dzieci przychodzą czysto odziane i uczą się pilnie. Szkółka ewangelicka posiada także dwa cenne przymioty, których poprzednik brakuje, czystość i porządek.

Korespondencję czwartą w „Gazecie Polskiej” zamieszczoną w 1870 roku w numerze 132 prawie w całości poświęciła Zofia Urbanowska wydarzeniom kulturalnym, jakie miały miejsce w naszym mieście. W kwietniu w Koninie koncertował pianista p. Karol Melcer, a towarzyszyły mu miejscowe amatorki. Koncert nie cieszył się dużą frekwencją, mimo iż część dochodu miano przeznaczyć na szpital (dostał niewiele rubli). Kilkanaście krótkich utworów scenicznych wystawiła trupa z Kalisza p. Anastazego Trapszo. Korespondentka pisała: *Pan Trapszo stosując się do gustu publiczności wybiera rzeczy lekkie, wesołe, z efektownymi tytułami, takie też sztuki lepiej się udają od dramatów poważniejszego nakroju. Przedstawienia odbywają się w starej zrujnowanej stajni, bez sufity i podłogi; uporządkowana naprędce jest uprzywilejowanym miejscem widowisk wszelkiego rodzaju. Tu występowało towarzystwo dramatyczne p. Okońskiego, tu odbywały się sztuki magiczne i pieski uczenie przewracały koziołki. P. Trapszo ma przynajmniej własną orkiestrę. Okoński postugiwał się miejscową, ułożoną z dwóch skrzypków i bassetki, którzy stale grywając w karczmach, nie mniej ochoczo przygrywali publiczności. Jeżeli miasto chce częściej cieszyć się ulubioną sobie roz-*

rywką winno pomyśleć o dogodniejszych dla obu stron warunkach; należałoby wystawić odpowiedni budynek z desek, niekosztowny, niewielki rozmiarem, ale dogodne dający pomieszczenie. Niechby był raz na zawsze zatyulowany teatrem i wynajmowany za cenę umiarkowaną. Podobne przedsiębiorstwo można by uskutecznić siłami zbiorowymi, na zasadzie dzielenia zysków między przedsiębiorców.

W końcowej części korespondencji młoda dziennikarka przedstawiła informacje gospodarcze dotyczące Konina i powiatu konińskiego. Pisała: *Powiat koniński wywozi za granicę stosunkowo znaczną ilość zboża; staki co wiosną zabierają 70 do 80 tys. korcy, a był czas, że cyfra dochodziła 100 tys. Sam Dom Handlowo-Komisowy Rolników Kaliskich (prowadził go Urbanowski) wysyłał 40 tys. gdy w tym roku ograniczył się na znacznie mniejszą liczbę. Konin chociaż w korzystnych warunkach położony, posiadający kilka szerokich traków i rzekę splawną - miastem przemysłowym nazwać nie można, leniwo na tej drodze postępując. Nie tylko większe instytucje, ale pomniejsze nawet zakłady utrzymać się nie mogą. Artykuły żywności liचे, płacimy drogo; chudy i zestaryły inwentarz na rzeź prowadzony daje mięso mało pożywne. Obecnie część mieszkańców wstrzymuje się od użycia wołowiny z powodu objawienia się u bydła choroby karbunkulem zwanej; kilka sztuk padło w mieście, o dalszym szerzeniu się nie słyszeliśmy. Handel drzewem budulcowym należy do znaczących objawów miejscowego przemysłu; wywożą stąd rokrocznie setki tysięcy sztuk na tratwach.*

Fragmenty z „Korespondencji z nad Warty” Zofii Urbanowskiej wybrał i tekst opracował Lech Hejman

Tworzyli wizerunek miasta

Ks. pastor Robert Badke

W latach 1928-40 parafią augsbursko-ewangelicką w Koninie administrował ks. Robert Badke, obywatel polski pochodzenia niemieckiego, jak o sobie napisał w autobiografii. Zastąpił na tym stanowisku ks. Adolfa Leflera, nacjonalistę niemieckiego, którego w 1926 roku zmuszono do odejścia m.in. za odprawianie nabożeństw i wykonywanie czynności kościelnych (śluby, pogrzeby) tylko po niemiecku, co skłóciło parafian.

Robert Badke urodził się 21 stycznia 1901 roku we wsi Sompolinek koło Sompolna, jako syn właściciela ziemskiego. Miał trzy siostry i trzech braci. Ojciec zmarł mu w 1905 roku. Naukę pobierał w szkole ewangelickiej w Sompolnie pod kierunkiem Ferdynanda Kufeldta, a języka polskiego uczył go prywatnie Derfert. Przez rok 1913/14 uczył się w szkole handlowej w Łodzi (pomoc starszego brata), ale po wybuchu wojny wrócił w rodzinne

strony. Ukończył gimnazjum w Kole, w międzyczasie uczestnicząc jako żołnierz w wojnie polsko-bolszewickiej. Po zdaniu matury (1921) rozpoczął studia teologiczne na Uniwersytecie Warszawskim i tam zetknął się z polskim ewangelicyzmem, osiągnięciami reformacji polskiego nurtu narodowego. Wcześniej wpajano mu, że ewangelicyzm związany jest z niemieckością. Pisał „Tutaj byłem pierwszy raz na ewangelickim nabożeństwie w języku polskim. To zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Tutaj poznałem..., że kościół luterski nie jest tylko kościołem niemieckim... Już wtedy sobie przypomniałem, że dla sługi Chrystusa nie ma wyższego imperatywu jak zwiastowanie ewangelii we wszystkich językach, zgodnie z nakazem misyjnym Jezusa.”

Studia Robert Badke zakończył uzyskaniem dyplomu w 1926 i jeszcze tego samego roku po zdaniu egzaminu kościelnego został przez biskupa ks. Juliusza Bursche wyświęcony, czyli ordynowany na księdza. Najpierw objął obowiązki wikariusza w parafii św. Trójcy w Warszawie, następnie po zdaniu kolejnego egzaminu z dniem 1 kwietnia 1928 roku skierowany został do Konina na wakujące stanowisko proboszcza. Biskup Juliusz Bursche musiał mieć do niego zaufanie, w przeciwnym razie nie dałby mu do obsługi parafii obejmującej nie tylko miasto, ale i okoliczne miejscowości z Domami Modlitwy i liczbą wiernych przekraczającą 7000, przy tym skłóconą, gdyż część ewangelików chciała nabożeństw po polsku. Koniuscy ewangelicy propolscy serdecznie przywitani nowego duszpasterza, a niemiecka większość parafian od razu się zdystansowała od niego. Jednak po pewnym czasie to się zmieniło i ks. Badke 28 maja 1929 roku otrzymał potwierdzenie na urządzenie proboszcza



zdj. - P. Hejman

(pastora). Nabożeństwa w Koninie odbywały się każdej niedzieli, przy czym raz w miesiącu w języku polskim. W święta kościelne i państwowe nabożeństwa w języku polskim odbywały się po południu. Prowadzone były też nabożeństwa dla dzieci w języku polskim przez kantora (diakona) Artura Wittmayera. Ksiądz Badke prowadził lekcje religii w gimnazjum i w szkole podstawowej w języku polskim, ponadto aktywnie zajął się działalnością społeczno-kulturalną. Założył Komitet Pań Opiekunek, które objęły patronatem parafialny przytułek, opiekę nad biednymi, dla dzieci organizowały „gwiadzkę”. Panie zdobywały fundusze organizując loterie fantowe, „czarną kawę z tańcami”, kwesty, zabawy karnawałowe. Ksiądz Badke rozwinął ruch śpiewaczy, organizował konkursy zespołów muzycznych. Chóry działały w Koninie, Święci, Bielawach, Borowie, Dąbrowie, Węglewskich Holendrach, Brzezinach Holenderskich, a orkiestry w Święci, Nowym Czarkowie, Węglewskich Holendrach, Bielawach. Życie parafialne toczyło się w Domu Parafialnym przy ulicy Wodnej 37, tam miało siedzibę Towarzystwo Młodzieży Ewangelickiej.

Ks. Badke przeprowadził w tym czasie remont kościoła i plebanii otrzymując wsparcie w takich osobach jak notariusz Muller, nauczycielka Esse, aptekarz Laube, Trenkler, Janz, Dec-

tert, Melzer, Milbrandt, rodzina Walterów i Torentzów i innych konińskich mieszczan.

Gdy w 1937 roku podczas nabożeństwa dwóch parafian rozdawało ulotki prohitlerowskie ks. Badke nie zaważał się poinformować o tym władz sądowych i winni zostali ukarani. W 1940 roku niemiecki Konsystorz z Łodzi wysłał do Konina inspekcję, w której uczestniczyli ks. Lefler i Adolf Ulbrich z Grodzca, obaj znani z antypolskich zachowań. W wyniku wizytacji księdza Badke skierowano do Kłeczewa, aby dokonał przemianowania kościoła katolickiego w ewangelicki, kiedy odmówił został usunięty z Kościoła jako duchowny i aresztowany przez gestapo. Dzięki wstawiennictwu parafian został uwolniony, musiał przeprowadzić się do Kalisza, gdzie pracował jako cywilny referent finansowy. W 1943 roku skierowano go do wojska na front w Jugosławii i Grecji. Po wojnie przedostał się do Lubeki, gdzie spotkał się z rodziną. Na krótko został duszpasterzem dla przesiedleńców aby ostatecznie z końcem stycznia 1951 roku osiedlił się z żoną, córką i synem w Kanadzie. Do przejścia na emeryturę w 1966 roku pełnił obowiązki pastora w parafii niemieckojęzycznej pw. św. Pawła w Edmonton, gdzie zmarł 27 lipca 1977 roku.

Opr. ks. Andrzej Mendrok, proboszcz parafii augsbursko-ewangelickiej w Koninie



Pastor Badke z młodzieżą w czasie konfirmacji

Z dziejów Konina

Wincenty Urbanowski agentem ubezpieczeniowym

Przez okres dziesięciu lat (1860-70) Wincenty Urbanowski prowadził agencję Domu Handlowo-Komisowego Rolników Kaliskich. Jednak wobec silnej konkurencji kupców żydowskich i niemieckich handel zbożem stał się dla niego nieopłacalny i agencję zlikwidował. W połowie 1871 roku p. Wincenty został agentem Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia. Stało to się dzięki wstawiennictwu Józefa Sikorskiego, redaktora „Gazety Polskiej”, z którym od roku współpracowała córka Zofia, przesyłając do redakcji korespondencje z Konina. Na

łamach gazety kilkakrotnie (w 1871 roku w ośmiu numerach, poczynając od numeru 216), ukazało się ogłoszenie informujące czytelników o tym, że w Koninie, we własnym domu agentura przyjmuje ubezpieczenia miejskie i wiejskie. Koszt zamieszczenia ogłoszeń mógł wziąć na siebie redaktor Sikorski w geście wobec Urbanowskiego, z którym znali się osobiście.

Towarzystwo, które Wincenty Urbanowski reprezentował, zostało zatwierdzone przez cara z dniem 1 maja 1870 roku i rozpoczęło działalność od lipca po rozpisanu akcji (8000

po 250 rs.) i zgromadzeniu połowy z przewidzianego dla Towarzystwa kapitału w wysokości 2 mil. rs. Siedzibę miało w Warszawie i zasięg na całe Królestwo Polskie. Założyli je bogaci Rosjanie i Polacy: ksiądz Sergiusz Koczubcy, asesor Teodor Pauli, księgarz Maurycy Wolf, obywatel Jan Wargunin oraz bankierzy: Leopold Kronenberg, J.G. Bloch, Julian Wartheim, Jakub Natanson, Henryk Gunzberg, Wsiewołod Istomin. Od września 1870 r. w zarządzie zasiadało pięciu dyrektorów (Kronenberg, Natanson, Wertheim, Zamojski i Zieliński). Obo-

wiązki prezesa pełnił Tomasz hr Zamojski.

Zadaniem agenta było, przed wystawieniem polisy, sprawdzenie opisu oszacowanej, zwykle przez miejskiego budowniczego, nieruchomości (bez gruntu) i przedmiotów zgłoszonych do ubezpieczenia (meble, powozy, odzież, naczynia, książki, szkło, instrumenty, obrazy, itp.) oraz zatwierdzenie wysokości strat szacowanych także przez budowniczego lub osobiście, gdy dochodzić miało do wypłaty odszkodowań.

Czy agentura przynosiła p. Win-

centemu jakiś dochód trudno powiedzieć, działać mu przyszło w zasadzie tylko w środowisku chrześcijańskim, bowiem w Koninie od lutego 1870 roku funkcjonowała agentura II Rosyjskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia, którą z nominacją dyrektora w Warszawie reprezentował żydowski kupiec Sander o imieniu Haymann. Towarzystwo powstało w 1835 roku w St. Petersburgu, miało więc dłuższą tradycję, większy kapitał i ubezpiecało podobnie: płody rolne, urządzenia fabryczne, warszaty, towary w magazynach i na statkach, wszelkie ruchomości i nieruchomości. Reklamowało „z akuracnością” wypłatę odszkodowań. Należy zauważyć, że w naszym mieście w tamtym czasie wśród ludności przeważali Żydzi, w tym kupcy posiadający domy, inwestujący w zakupy towarów, czyli bardzo zainteresowani ubezpieczeniem swoich dóbr i pewnie wspierali agenta Sanderę.

Lech Hejman

Chodzi za mną od dawna krótkie wspomnienie o konińskich żydowskich kamieniarzach. Produkt ich, kute w piaskowcu nagrobki, miał jedno przeznaczenie, stać na cmentarzu i upamiętniać osobę leżącą w grobie. Cmentarz żydowski w Koninie mieścił się za miejskim parkiem. W parku spędza-

szkolnych często do nich zaglądałem, ich dom był tylko o krok od szkoły. W podwórzu stała szopa, w której mieścił się warsztat głowy rodziny. Szwarcowie osiedli tu na przełomie lat 20 - 30-tych, skąd przybyli nie wiem, postawili domek, mieli się dobrze. Zaglądałem do nich z racji ich synka, sym-

był mu do niczego niepotrzebny, dlatego więc wynajmował mu szopę? Nigdy do szopy kamieniarza nie wchodziłem, ale przez uchylone drzwi widziałem płyty piaskowca, ryłce, młotki. Nie zaglądałem, bo pan Lipszyc bynajmniej do tego nie zachęcał. Na pewno w piątek wieczorem zmieniał

Kamieniarze, wytwórcy macew

łem dużo czasu, więc chcąc nie chcąc ocierałem się o cmentarz. Zaglądałem tam jednak rzadko, szczerze mówiąc tylko z okazji pogrzebów osób bliskich. Nie ciągnęło mnie na cmentarz, bo nie był ciekawy, ani ładny. Piasek, piasek bez zieleni, bez drzew i prawie darni, piach przedzielony kopczykami grobów i pionowo sterzczącymi, podobnymi do siebie skromnymi kamieniami. W środku cmentarza wyróżniał się jedyny grobowiec, po hebrajsku oheł, wystawiony chyba w XIX w. przez jakąś bogatą rodzinę, której chyba już nikt w mieście za moich czasów nie pamiętał. Ten oheł też był skromny i nie naruszał zgrzebnego wyrazu cmentarza. Widać istniało głęboko u Żydów zakorzenione przekonanie, że skoro jesteśmy równi wobec Boga, to nikt z nas nie ma podstawać się przed jego obliczem. Skromność cmentarza była chyba i wynikiem mieszczańskości przedświadczenia, że zapewnienie egzystencji żyjącym, trudne, często graniczące z niemożliwością, jest ważniejsze niż cmentarny przepych. Martwym przecież i tak jest wszystko jedno. Wszędzie więc piaskowiec, ale nagrobki nie budziły mojego zainteresowania, bo hebrajski znałem słabo, a dla rozszyfrowania inskrypcji potrzebna była również znajomość skrótów i symboliki, wiedza której nigdy nie zgłębiłem.

Nie wiem kto ryl imiona wieczyste dla katolików i protestantów, bo nie Żydzi. Znałem natomiast w miarę dobrze i nadal pamiętam dwie rodziny miejscowych kamieniarzy żydowskich.

Szwarcowie mieli domek na Mickiewicza. Jako chłopiec po zjehaciach

patycznego, rozgarniętego chłopca chodzącego do tej samej klasy co i ja. Stary Szwarc był duży, ocieślały, małomówny, nieco gburowaty. Nie, nie używał nigdy brzydkich słów, czy przekleństw, ale był taki jakiś niekonkretowy. Jego zawód łączył się z religią, ale jak pamiętam, był umiarkowanie pobożny. Owszem, chodził do synagogi, ale nie co tydzień, a wymogi żydowskiego rytuału spełniał chyba dlatego, że żył w społeczności i ze społeczności. I jeszcze jeden drobiazg - jako jedyni w mieście Żydzi Szwarcowie byli posiadaczami dwóch psów, kundelków. Żydzi w zasadzie psów nie cierpieli, rzadko kto miał w domu kota, najwyżej kanarki lub szczygły w klatkach. Zwracam uwagę na te psy, bo w Szwarcach było coś wiejskiego, odbiegającego od miasteczkowych norm społeczności żydowskiej.

Druga rodzina to Lipszycowie. Ci byli zakorzenieni w Koninie od niepamiętnych czasów. Mieszkali na Zamkowej pod piątym, w domu Wintera, w tym samym na piętrze rezydowała rodzina rabina. Rodzina kamieniarza mieszkała jednak w mało prestiżowej piwnicy, ta którą zajmowali była obszerna, jaśniejsza niż znana mi sutere-na na Gwoździarskiej, gdzie w ciemności gnieździły się dwie rodziny. Mieszkanie w piwnicy było wyznacznikiem stanu majątkowego. W odróżnieniu od majątnych Szwarców Lipszycowie byli biedni. Stary Lipszyc miał swój warsztat w szopie u ogrodnika Serafińskiego na ulicy Ogrodowej. Serafiński był powstańcem wielkopolskim, endekiem, działaczem antysemitycznym Stronnictwa Narodowego. Z wynajmu szopy miał grosze. Lipszyc

ubranie, ale mnie utkwił w pamięci w roboczym, szarym od odprysków kamienia chałacie. Wysoki, barczysty chasyd, jeden z filarów chasydzkiej bóżnicy, w wieku chyba lat 60, był małomówny i nie pamiętam bym z nim kiedykolwiek rozmawiał, chociaż do ogrodnika po warzywa często chodziłem. Pod tym względem był zupełnie podobny do Szwarców. Zastanawiam się czy mruklliwość nie była związana z zawodem, narzucającym pracę w samotności i w dużym skupieniu - przecież nawet drobny błąd, literówka, w ich wypadku oznaczał zniszczenie wielodziennej pracy, konieczność ponownego wykucia płaszczyny i żmudnej pracy nad literami. Kamieniarzom nie wolno było się mylić. Lipszycowie mieli pięciu synów i jedną córkę. Potomstwo było dorosłe i już wypłynęło w świat. Jeden syn mieszkał w Belgii. Córka z męża Montagowa mieszkała w Łodzi, była rozwódką, wysoka, zgrabna, o melodyjnym głosie, mówiła piękną, literacką polszczyzną, była ocyzta. Bez wykształcenia i zawodu utrzymywała się z czego się dało, przeważnie z pracy chałupniczej, zarobki miała marnie, chorowała i zmarła na gruźlicę. Jej córka 6-cioletnie nadinteligenckie dziecko zamieszkała w piwnicy u dziadków. Najmłodszy, znany mi syn Lipszyców Jozek był ode mnie starszy o jakieś 8 lat. Smukły, przystojny szatyn był w mieście przedmiotem podziwu, mówiono, że jest genialnym skrzypkiem. Jozek był ciężko chory, wiosną 1935 roku rodzina zdobyła się na duży wydatek, na wysłanie go do sanatorium w Otwocku. Cudu nie było i Józka umierającego trzeba było stamtąd natychmiast za-



zdj. - P. Hejman

brać. Pieniądze na taksówkę kolosalną na owe czasy kwotę 700 zł., dał Serafiński. W pogrzebie młodego człowieka udział wzięło wielu mieszkańców.

To było krótko przed wybuchem II wojny światowej. Potem nadeszła Zagłada. Z parotysięcznej ludności żydowskiej Konina wojnę przetrwało znacznie mniej niż sto osób. Ze Szwarców i Lipszyców nikt nie ocalał.

Przenieśmy się w czasie. Lata 90-te, po długiej przerwie znów jestem w Koninie. Jest pół wieku po Zagładzie. Inaczej niż przed wojną, teraz za każdym pobycem w mieście, zachodzę na plac, na którym był żydowski cmen-

tarz. Gdyby nie skromna żeliwna tabliczka trudno by się domyślić, że było to święte dla Żydów miejsce. Zginęli ludzie, poginęły materialne ślady ich dawnej obecności, zagłuchła pamięć o nich. Ilu nas jest, tych co jeszcze mają w żrenicach niezarty obraz wymordowanej społeczności? Trzech, czterech, pięcioro? Jesteśmy starzy, niedługo i nas nie stanie.

Autor urodził się w Koninie w 1923 roku, jest emerytowanym historykiem, autorem wspomnień o przedwojennym Koninie „Cztery dni w Atlantydzie”, mieszka w Szwecji.

Wspomnienie o osobach widywanych, a nieznanych

O czym tak myślisz? Zapytała zona. Przed moimi oczami w bezwładny sposób przesuwały się obrazy. Nieznani mi ludzie opuszczają hotel przy ulicy Słowackiego. Z warsztatu ślusarskiego mieszczącego się naprzeciwko, dźwigając torbę z narzędziami wychodzi pan „Ograbisz”. Ciekawe komu zaciął się tym razem zamek? W drzwiach budynku przy skrzyżowaniu ulic Słowackiego i Przechodniej stoi „Marszałek” ubrany w szynel wojskowy. Pojawili się z nieodłącznymi „sądami” na ramionach „Kaziu nosi woda”. Panowie kłaniają się sobie.

Oczyma wyobraźni widzę prowa-

dzącego rower od strony Warty „Gadomskiego rower – rybaka nocnego”. Na ramie ma umocowane niezmierzonej długości „leszczynowe” wędkę. Ile ryb minionej nocy pozwoliłaś zabrać sobie ukochana rzeko? Z placu Wolności dolatuje dźwięk metalowej szyny uderzanej młotkiem, w ten sposób „Łapka”, ostrzący noże i nożyczki informuje o gotowości podjęcia pracy. Słychać turkoczące kółka wózka „Ejgo” - dostawcy węgla.

We wspomnieniach powraca „Sabcia” roztawiająca swój stragan z owocami tuż obok wejścia do zakładu fryzjerskiego „u Dziubczyńskiego”, przy

znakach drogowych naprzeciwko fary. Słyszę, jak świstem bąka pan Maciaszek, dostawca mięsa z rzeźni miejskiej pogania swojego leniwego konia. Każdego ranka w kolejce przed sklepem mięsny na widok nadjeżdżającego pojazdu wzrastało ożywienie.

Nawoływaniem, właściciel kramu przez dzieci zwany „Kogucikiem” zachęcał przechodniów do kupna lizaków oraz towarów „wszelakich”. Widocznie dzisiaj nie ma w okolicy żadnego odpustu, bo swój stragan ustawił przy ogrodzeniu kościelny.

Na ulicy Kramowej przepukpli swarząc się między sobą roztawiają

wiadra pełne kwiatów. Ciekawe, od którego z konińskich ogrodników kupiły tak cudnie pachnące lewkonie? W czyich ogrodach urosłyście dumne mieczyki? Czy to ręce Kolańskiego, Kowalczykiewicza, a może Zawieruchy was pielęgnowały? Ze śmietaną i serami pojawiła się jak zawsze uśmiechnięta pani Wróblowa.

W myślach przenoszę się na plac Zamkowy. Tam na wprost byłego żydowskiego bes medreszu, w bramie kamienicy Głuby, pan Lorenc ładuje na wózek skrzynki wypełnione czeresnią. Spiesz się, by zająć miejsce do sprzedaży tuż przy wylocie ulicy PCK. Pracy sąsiada przygląda się pan Urbaniak, sam będąc biegłym w sztuce murarskiej nie ułożyłby tyłu cegiel ile skrzynkę zmieściło się na wózku.

Widzę, idącego równym krokiem przez Rynek Garncarski, czyli plac Zamkowy pana Rybarskiego. Z wrodzoną grają odzwajemnia ukłony pozdrawiającym go przechodniom. Za-

pewno spieszy się do Szkoły Podstawowej nr 2, której jest kierownikiem.

Naprzeciw kamienicy „Zemelki” na ławeczce usiadł „Bajan” (Mieczysław Kowalczykiewicz) z pędzelm i puszką białej farby. Będzie czekał, aż wyjdzie petent z wydziału komunikacji, wówczas wprawna ręką wymaluje mu numery rejestracyjne, zwykle na motorze, nadane przez urząd. Ratuszowy zegar wybija godzinę siódmą. Rozpoczyna się kolejny dzień.

Pytasz Kochana – o czym myślę? Przecież widywałem wymienione postaci prawie codziennie, wydawało mi się, że je znam – obecnie wiem, że jednak nie znam. Zastanawiam się czy teraz gdy są po „tamtej stronie” – dają tyle radości innym, jak mnie w czasach mojego dzieciństwa?

Żonie dedykuje jeszcze wierszyki... starokoninianin Włodzimierz Kowalczykiewicz

Konin nocą wg Macieja Sypniewskiego



Firma Sypniewski i Synowie

jest najstarszym zakładem fotograficznym w Koninie.

Istnieje od 1910 roku.

Założycielami byli bracia

Karol, Marcello i Bolesław Pęcherscy.

Od roku 1936 właścicielem zakładu

stał się Józef Sypniewski i jego następcy.



KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-50 Konin, ul. Przemysła 9, tel. 243 77 00, 243 77 03

Redaguje zespół Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina

ISSN 088-0893